

## Jerzego Sosnowskiego gra w lokalność z towarzyszeniem orkiestry i fałszujących solistów

Jerzy Jarzębski, który – jak wiadomo – dzieła literackie chętnie ujmuje w ich mniej lub bardziej chlubnej niepowtarzalności i stroni od efektownych, a szybko wietrzejących klasyfikacji, tak odpowiedział w wywiadzie dla „Tekstualistów” na pytanie o współczesnych autorów nie dość poważanych:

„Dla mnie przykładem pisarza regularnie krzywdzonego jest Jerzy Sosnowski. Moim zdaniem to twórca, który pisze o sprawach ciekawych i w sposób z całą pewnością niebanalny. Tymczasem obrywa mu się zarówno od miłośników awangardy za wybór trzeciej »drogi« i nadmierny konserwatyzm, jak i od tych, którzy oczekują od literatury wysokiej problematyki. Ci ostatni zarzucają Sosnowskiemu, że to, co pisze, jest jednak zanadto popularne”<sup>1</sup>.

Niżej podpisany ceni sobie prozę autora *Wielościanu*, a jego konserwatyzm (jeśli porównywać z twórczością niektórych autorów dopieszczanych w recenzjach, umiarkowany, nie zaś nadmierny) poczytuje za zasługę, więc nie spodziewa się notatkami na marginesie ostatniej powieści Sosnowskiego, zatytułowanej *Tak to ten*, autorowi krzywd przymnożyć. Chce także ustrzec się przewinienia względem tych, którzy po książkę dopiero sięgną – rezygnuje przeto z dokładniejszego zrelacjonowania meandrycznej fabuły; odebrałoby to czytelnikom przyjemność, której – bez wątpienia dostarcza – literacka gra, jaką podejmuje z nimi pisarz. A gracz to rutynowany. Nie pierwszy raz łączy w wielogłosowej całości sygnały autobiograficzne z kilkupoziomową fikcją o niejasnym statusie (na stronie 341 pisarz przyznaje się do autorstwa innego wariantu opowieści niż ten, z którym zapoznał się czytelnik!), w kontekście której, jak zwykle u Sosnowskiego, pojawia się nazwisko Andrzej Walczak. Nie pierwszy raz obiera też ryzykowną strategię prowokacyjnego nakłuwania tkanki Wielkiej Historii: fundamentalny dla omawianej powieści wątek nazistowskich badań eugenicznych (prowadzonych jakoby w Kolbergu i determinujących zafalszowany w historiografii przebieg walk o to miasto w 1945 roku) przywodzi na myśl motyw sowieckiego eksperymentu z cyborgiem do neutralizowania opozycjonistów, pamiętanym z *Apokryfu Agfai*. Nie pierwszy raz portretuje indywidua o intrygująco rozchybotanej tożsamości. Nie pierwszy raz swobodnie tasuje scenerie epizodów: tym razem od Buenos (ale tu raczej nie boskiego), przez Wrocław (gdzie demiurgiem à la Schulz jawi się aktywista ZBoWiD-u, a jakże!), świeżo wymotaną z siermięgi PRL-u Warszawę po Kołobrzeg (o czym szerzej – za chwilę). Po raz pierwszy za to – wypada odnotować ten zabawny autokomentarz

<sup>1</sup> O niemożliwym obrazie całości w literaturze polskiej po 1989 roku. Rozmowa z Jerzym Jarzębskim [rozmawiają K. Krowiranda i Ż. Nalewajk] [w:] „Tekstualia” 2005, nr 2, s. 91.

– na stronie internetowej [www.jerzysosnowski.pl](http://www.jerzysosnowski.pl) publikuje opis gry fabularnej ściśle przylegającej do powieści, zamieszcza wyjaśnienia, polecenia, wskazówki. Rzec tedy warto o oczywistych i nieoczywistych wymiarach tej powieści-gry: o lokalności, o polifoniczności i o literackich wizerunkach dostępnego autorowi „tu i teraz”, które to wizerunki – jeśli bliżej się im przyrzeć – ujawniają nieoczekiwane zgoła rysy.

## TAK TO TEN

Czy wiele dzieli najnowszą powieść Sosnowskiego od literatury małych ojczyzn? Nie-wiele. Część czytelników zapewne ochrzczi ją mianem kołobrzesckiej epopei, doceniając rangę zawartych w niej opowieści o przełomie: wojennym i transformacyjnym, i akceptując – skonwencjonalizowane już wszak (tu ukłon w stronę pisarzy gdańskich) – wyeksponowanie w tych narracjach takich składowych jak zapis losu indywidualnego i język przestrzeni niezideologizowanej. Inni rozsmakują się w efektach spod znaku realizmu magicznego i dostrzegą nieoczekiwane powinowactwo Kołobrzegu (w okolicach którego lokuje Sosnowski „ścieg”, łączący różne warstwy rzeczywistości – T, s. 289–291<sup>2</sup>) i – powiedzmy – Kolonii Wileńskiej (czegoż niezwyklego tam Tadeusz Konwicki nie umieszczał!). I jednych, i drugich utwierdzi w interpretacyjnych intuicjach ujęcie Wielkiej Historii jako dziedziny pośępnie obcej, skłonnej pogwałcić przyrodzone prawa jednostki, a w najlepszym razie – zmącić jej święty spokój<sup>3</sup>. Sztampa? Nie – przede wszystkim ze względu na to, jakie utrwalone w pamięci zbiorowej opowieści o Kołobrzegu musiał brać w rachubę pisarz; słabiej przemawia na jego korzyść sposób, w jaki je zneutralizował. Ów kłopotliwy kontekst wiąże się naturalnie z operacjami sensotwórczymi, jakim poddano kurort u ujścia Parsęty w okresie PRL, przyoblekając tam w konkretne kształty rozmaite militarystyczne motywy obowiązującego wówczas języka politycznej perswazji – i wykorzystując legendę krwawej batalii z roku 1945. Prócz pamiętnego Festiwalu Piosenki Żołnierskiej, na którym raczono publiczność czasem dziarskimi, czasem ckliwymi moczarsowskimi z ducha kantatami, wymienić można urządzone ze względny rozmachem muzeum wojskowe czy umieszczony w kameralnej, nieledwie sielankowej scenerii Pomnik Sanitariuszki, zaskakująco wiernie realizujący motyw ikonograficzny *pietò*<sup>4</sup>.

Takich rysów kołobrzesckiej przestrzeni Sosnowski nie ignoruje: sytuuje rozgłosniętą radiową, miejsce pracy głównego bohatera, w niegdysiejszym Wojskowym Punkcie Ob-

<sup>2</sup> Wszystkie cytaty z omawianej powieści opisują w nawiasach w tekście głównym artykułu według następującego wydania: J. Sosnowski, *Tak to ten*, Kraków 2006. Oznaczam je symbolem T.

<sup>3</sup> Na przykład rzutkiemu przedsiębiorcy śni się często wypierana z pamięci scena złożenia podpisu na zobowiązaniu do współpracy z SB (T, s. 298). Sosnowski wyraźnie lubi motyw jednostek, którym Wielka Historia miesza szyki i realizuje go często w sposób prowokacyjny: w *Tak to ten* entuzjaści eugeniki ubolewają nad komplikacjami, jakie mogą ich czekać po triumfie wyborczym nazistów (T, s. 65, 66); w *Apokryfie Agłai* operatorka cyborga przyznawała się do gniewu na Lecha Wałęsę, gdyż działania „Solidarności” niechętnie usposobiły do niej radzieckich kolegów na łodzi podwodnej, z której kierowano „projektem Wenus”. Zob. J. Sosnowski, *Apokryf Agłai*, s. 303.

<sup>4</sup> Zaznacza się tu wyraźna specyfika Kołobrzegu na tle innych miast Pomorza Zachodniego, w których przecież nie brak śladów kuriozalnych operacji symbolicznych. Wskazać można dla przykładu świnoujską uliczkę o układzie przestrzennym i wystroju architektonicznym typowo niemieckim, która nosi miano... Hołdu pruskiego.

serwacji Wzrokowo-Technicznej (T, s. 19), w peerelowskich retrospekcjach odnotowuje przelatujące nad miastem myśliwce Armii Czerwonej (T, s. 185). Istotniejsze wydają się wszakże te fragmenty, w których autor „sprowadza orężny patos do parteru”: zanurza go w żrącym – jak się okazuje – roztworze powszedniości. Starczy przywołać groteskowy portret emerytowanego oficera LWP:

„[...] Rysiu był taki piękny w mundurze, ogorzały od częstego przebywania na świeżym powietrzu; każda kobieta chciałaby towarzyszyć przystojnemu kapitanowi artylerii. Teraz, w zgnitzielonym dresie, wniósł do kuchni swoją udręczoną twarz” (T, s. 50).

„Kiedy okazało się, że do rady miasta wchodzi z listy Samowoli pierwszych pięciu, a on jest szósty, nerwowe ożywienie przedwyborcze ustąpiło i Ryszard wrócił do niedobrych nawyków przedwczesnego rencisty. Wstawał około ósmej, przynosił z kiosku »Standar«, a w poniedziałki również »Akurat!« i nieruchomiał na długie godziny przy stole. Czasem kłócił się z Zygmuntem, marudzącym długo przed wyjściem do pracy. O dwunastę włączał Radio Niepokalana, które grało w mieszkaniu do północy, i w szesnastokartkowych zeszytach notował zamasztyłym piśmem najbardziej bulwersujące wypowiedzi ojców prowadzących. Miał już tego tyle, że trzeba było przestawić encyklopedię na wolną półkę, tę z kryształami, bo zeszytiki przestały się mieścić na etażerze” (T, s. 50, 51)<sup>5</sup>.

Podobne wrażenie wywiera pozornie nieznacząca, obcesowa uwaga, którą o rodzicach swej niedawnej muzy formułuje odrzucony bohater:

„Tatus potwór i mamusia, kiedyś niezła dupencja zresztą, sądząc po stanie na dzień dzisiejszy. Iluż tu tych wojskowych po wyczochraniu z munduru, zieleń nie schodzi nawet pumeksem, dom jako jednostka wojskowa, baczność i kolejno odlicz, łatwego życia to ta mała nie ma” (T, s. 95).

Sosnowski na szczęście nie poprzestaje na sięgnięciu po poetykę bliską współczesnemu nurtowi prozatorskiemu, który chciałoby się nazwać „małym realizmem wielkiej płyty”. Opowieściom zaprzęgającym kołobrzeską przeszłość do propagandowego kieratu przeciwstawia inną wizję czasu. Takie jej atrybuty jak linearność, ciągłość, następstwo, kumulacja doświadczeń podlegają zakwestionowaniu. Znajduje ona silne poświadczenie w wyznaniach bohaterów. Jeden z nich powiada:

„W Kołobrzegu dziwne rzeczy dzieją się z pamięcią, która pracuje opornie, rzeszotowieje jak stare kości, przechowuje jakieś grudki i gubi całe przebiegi zdarzeń. Ludzie zjechali tu z rozmaitych stron i bardzo powoli oczyszczają się z poczucia tymczasowości. Wydarzenia giną w nieokreślonym wczoraj, którym nie ma co się zajmować przed jutrem, skoro nikt nie wie, jakie będzie to jutro i gdzie nas zastanie – chyba żeby to, co już się stało, przepowiadać w kółko i w kółko, niespokojnie sprawdzać, czy wczorajsza kształtna narracja nie rozsypała się tymczasem w chaotyczny zbiór faktów, które lepi się jeszcze zmysleniem, a w końcu porzuca. Smagani północnym wiatrem, skrapiani deszczami, które nigdzie indziej nie padają – w nieodległym Koszalinie świeci wtedy słońce – przeczuwamy niejasno, że prawdziwe życie toczy się gdzieś daleko. Tam, skąd przybyliśmy, skąd przyjechali nasi rodzice lub dziadkowie albo i my sami. Tam, dokąd nie wrócimy” (T, s. 19, 20)<sup>6</sup>.

<sup>5</sup> Jednoznaczne, płaskie – a wcale nierzadkie tu – aluzje do istniejących środków przekazu i partii politycznych (a w innym miejscu mowa też o „Ruchu Demokratycznym”, „Konwencie Zjednoczonej Prawicy”, „Partii Lewicy Demokratycznej” – T, s. 168 i „Zrzeszeniu Katolicko-Patriotycznym” – T, s. 143) niestety budzą skojarzenia z tandetną zgrywą, z amatorszczyzną szyderców, którzy anonimowo dają upust swej pasji w internecie.

<sup>6</sup> Podobne tony pobrzmiewają w wypowiedziach głównego bohatera (zob. na przykład: T, s. 264).

Jaka zasada konstytuuje kołobrzeskie przeciwieństwo „prawdziwego życia”? Poprzez stając (tymczasem) na odczycaniu warstwy fabularnej powieści, wypada odpowiedzieć: paradoksalność. Zwróćmy uwagę. Miejsce po hitlerowskim ośrodku „Jutrzenka” (Rzeszy) zajmuje polskie „Słoneczko” (T, s. 188, 189). Kołobrzężanie obawiają się, „że Niemcy mogliby przestać tu przyjeżdżać i zarazem, że mogliby przyjechać tu na stałe” (T, s. 111). Radiostuchaczka z rodziny wołyńskich przesiedleńców biadoli:

„Wszyscy są przyjezdni, zostawili swoje mogiły gdzieś daleko, więc zmarli nie mają się komu śnić. Tu nie ma, wie pan, ani trochę nie ma warunków na kontakty z zaświatem, nikt nam się nie ukazuje, nie ostrzega” (T, s. 99, 100);

W śnie dziecka oswajającego się ze światem w latach 90. minionego wieku pojawiają się wyraziste apokaliptyczne sceny, bliskie obrazom wojennych walk o Kołobrzeg:

„W jego słowach pojawiali się jacyś mężczyźni bez twarzy, kobiety odzyskujące się z wnętrza trumien, posiniate trupy topielców i krwiożercze potwory z morskich głębin, i żołnierze strzelający do dzieci, i ruiny, wśród których się zgubił, wzbierające odchodami szalety, szkielety w spalonych mieszkaniach, pokryci bliznami bliźni, wszyscy gonili go po skalnym rumowisku, z którego wystrzelały purpurowe macki, próbując go pochwycić, i nigdzie nie było rodziców” (T, s. 249); „(...) »A na końcu byłem w samolocie, który spadał i nie mogłem się z niego wydostać«” (T, s. 250).

Nie dość tego: w nocnych rojeniach kilkorga bohaterów występuje postać szczególnie zagadkowa – „mężczyzna w beżowym płaszczu marki Burberry”, którego pojawienie się przepętnia śpiącego „intensywną słodyczą” (T, s. 145, zob. T, s. 179, 296-298):

„Wysoki, z twarzą dla każdego inną, sywał z rękawów konfetti, rozdawał wydobywane z uszu przechodniów piłeczki, żeby po chwili, kiedy już zgromadził wokół siebie potężny tłum, unieść się majestatycznie na kilka metrów i stamtąd władczy gestem zorganizować defiladę obłoków, uformować z nich ludzi i palmy, cumulusy ułożyć w przebiegającego kopytkami baranka, a cirrostratusy zawinąć w fantazyjne serpentyny od szczytu wieżowca z Delikatesami aż po dach liceum ekonomicznego” (T, s. 145, 146).

Osobnik ten na nowo powołuje do istnienia zburzone kamienie:

„I wtedy człowiek w beżowym płaszczu, wciąż lewitując, żeby go było lepiej słyszeć, wołał: »Kochani, chciałem, żebyście zebrali się w jednym miejscu, żeby wam przypomnieć, że nie masz już Polaka ani Ukrainca, ani Niemca, ani Rosjanina, ani Żyda, ani hetero, ani homo, a nawet, w pewnym sensie ani kibica tutejszej Kotwicy, ani Arki Gdynia czy Gwardii Koszalin; nie masz mieszkańca Kołobrzegu ani Trzebiatowa, ani Słupska; i nieważne, czy przyjechałeś tu na miesiąc, czy na całe życie, nieważne, czy mieszkasz w strzeżonym apartamentowcu w rodzaju Etny, czy w najtańszej czynszówce przy ulicy Rybackiej, wszystko to mgła i pogoń za mgłą. Cóż to jednak znaczy, że mgła i pogoń za mgłą, jak te budynki, które wokół wyrosły i zaraz znikną? Ano to, że nic z tego nie jest warte tyle, ile każdy z was. Bo każdy jest jedyny w swoim rodzaju, każdy najlepszy i każdego czeka bezkresny czas radosnych przemian. Więc nie spieszcie się, pozбудьте się niecierpliwości, lęku, chorobliwej ambicji. Zdawało się wam, że to jakiś wyścig, a to przechadzka po Ogrodzie pełnym cudów, choć te znikają, gdy pędzicie przed siebie nieuważnie. Uspokójcie się. Zdążycie ze wszystkim. A jeśli ktoś z was zgubił coś ważnego, znajdzie to. A jeśli z kimś się rozstał i nie może tego przeboleć, odnaj-

dzie go, choćby tamten nie żył. Chyba że rozstał się z tamtym z ulgą, wtedy obiecuję, że już go nie spotka. A teraz chodźmy na molo» (T, s. 146-147).

Czy ów wyłagodzony, arkadyjski składnik kołobrzesckiej literackiej wedyty pojawia się – co znamienne: w nawiasie snu – po to, by prawidłom realizmu magicznego stało się zadość? Na swojej stronie internetowej Sosnowski owo zagadkowe indywiduum umieścił w spisie postaci z powieści-gry na pierwszym miejscu wedle kolejności metrykalnej; napisał też: „Dlaczego nikt nie zwraca na niego uwagi (jak dotąd – także żaden z recenzentów)? UWAGA: na to ostatnie pytanie istnieje z pewnością wiele wariantów odpowiedzi”<sup>7</sup>. Jeśli uwzględnić zewnętrzne (prócz wieku) i – odzwierciedlone w cytowanym apelu – wewnętrzne cechy owego nieśpiesznego przechodnia z żywych ogrodów odwiecznych wartości, wydaje się, że Sosnowski miał tu na myśli najzupełniej konkretną, znaną sobie co najmniej pośrednio, a zresztą godną szacunku osobę, nad którą wszakże nie ma potrzeby się tu rozwodzić. Właściwie trudno orzec, czy potraktował ją ciepło (cześć szlachetnemu idealizmowi!), czy – prztyczkiem (biada naiwnemu idealizmowi!); w każdym razie wygląda na to, że dorzucił jeden jeszcze sygnał obecności autora.

Złożył autograf – godzi się to podkreślić – na obrazie barwnym, żywym i skomponowanym uczciwie. Ważne dla siebie miasto sportretował udatnie, nie siłąc się na charakterystyczne dla produktów popkultury zabiegi idealizujące, na parwieniuszowską emfazę. Trafny okazuje się już choćby dobór miejsc prawdziwie intrygujących, takich jak choćby nieistniejąca już kawiarnia „Morskie Oko” (T, s. 149) czy charakterystyczna alejka z pochylonymi drzewami (T, s. 204). T a k , t o t e n : ten Kołobrzeg, który niektórzy przynajmniej czytelnicy odwiedzają i zachowują w pamięci.

## TAK, TO TE

Autor *Wielościanu* z upodobaniem układa wielogłos. Charakter kołobrzesckiej powieści Sosnowskiego określają polifoniczność i intertekstualność. Ta ostatnia cecha ujawnia się już na poziomie anegdoty, która z lamusa pamięci wywołuje wytwory peerelowskiej kultury masowej: udany film grozy, osadzony głównie we Frei Stadt Danzig, a zatytułowany Medium i gierkowski „produkt bondopodobny”, czyli niemal surrealistyczny w swej tandecie serial telewizyjny *Życie na gorąco*<sup>8</sup>. W przywołanym horrorze (Medium, scenariusz i reżyseria Jacek Koprowicz, Polska 1985) tytułowe indywiduum, obdarzone złowrogą mocą kontrolowania woli innych, aranżowało krwawą melodramatyczną scenę ze swego dzieciństwa, by zyskać na nowo biologiczną kondycję dziecka; zaś te okultystyczne uzdolnienia pragnął wykorzystać wyznawca nazizmu<sup>9</sup>. Natomiast w kolejnych odcinkach sensacyjnego serialu telewizyjnego (*Życie na gorąco*, scenariusz Andrzej Zbych, właściwie Andrzej Szypulski i Zbigniew Safjan, reżyseria Andrzej Konic, Polska 1978) polski dziennikarz Maj, związany z ONZ, błyskotliwy

<sup>7</sup> [http://www.jsosnowski.nazwa.pl/?page\\_id=70](http://www.jsosnowski.nazwa.pl/?page_id=70), z dnia 27.09.2006.

<sup>8</sup> Zob. <http://www.filmpolski.pl/fp/index.php/124165>, z dnia 27.08.2007.

<sup>9</sup> Zob. <http://filmpolski.pl/fp/index.php/121296>, z dnia 27.08.2007.

omnibus i poliglota, gustujący w starannie dobranych produktach polskiego przemysłu dziewiarskiego, zawiadacko ujeżdżający Polskiego Fiata 125p, z żelazną konsekwencją tropił niedysyjszych zbrodniarzy hitlerowskich, którzy kierowali z Ameryki Łacińskiej (zdjęcia kręcono w Bułgarii, ZSRR i na Węgrzech) przestępczą organizacją „W”. Na marginesie, warto kiedyś w oddzielnym studium zanalizować filmową narrację o tym syndykacie: mimowolnie ujawnia ona absurdalne zbiurokratyzowanie i zarazem niską kulturę organizacyjną struktury, ze szkodą dla płynności opowiadania dając pierwszeństwo operacyjnie jałowym aktywnościom bohaterów: zachowaniom konsumpcyjnym i kurtuazyjnym (dającym jedynie mdły posmak „światowości”). Nasuwa to nieoczekiwane skojarzenia: jeśli nie z realiami Polski urzędniczej lat 70. ubiegłego stulecia, to z konterfektami partyjnej biurokracji, które sporządził – z realistycznym pietyzmem i oczywiście wyraźną tendencją – Kazimierz Orłoś w swym tryptyku powieściowym (*Cudowna melina, Trzecie kłamstwo, Przechowalnia*).

Większej satysfakcji niż tropienie fabularnych analogii dostarcza wszakże identyfikowanie zastosowanych tu wzorców gatunkowych i stylistycznych, jeszcze zaś większej – dociekanie założeń, jakie autor w tym zakresie przyjął i zupełnie zgrabnie w powieści zasygnalizował. Wykorzystał Sosnowski konwencję: wywiadu w gazecie regionalnej (udziela go „Wiadomościom Zachodniopomorskim” główny bohater – T, s. 194-196), blogu (w internecie wynętrza się małżonka lokalnego krezusa – T, s. 211-219), tragikomicznej opowiadki rodzinnej z czasów repatriacji (T, s. 25-26), archiwalnego zapisu audycji radiowej o bitwie kołobrzesckiej (T, s. 315-321), grafomańskiej liryki (pewnego Romea, który od bohatera z tragedii Szekspira różnił się tym, że po pierwsze, został odrzucony, a po drugie, nie tyle przez Julię, ile przez Juliana – T, s. 39, 40), a nawet popularnego kompendium (zamieszczenie fragmentów dzieła *Ludzie. Podręcznik dla kotów*, T, s. 302-305, niektórych krytyków zachwyciło<sup>10</sup>). Zabawił się w pastiszowanie mniej lub bardziej znanych przebojów z lat dawniejszych i ostatnich (T, s. 22, 75, 90, 110, 175, 183, 193, 300 i inne); na przykład Zegarmistrza światła wystrychnął na „Hafciarkę mroku” (T, s. 54, 55) – by rzec poetycko i w ten sposób uhonorować gracją w urzeczywistnieniu błahego wszak zamysłu. Co więcej, skatalogował mnogie socjolekty, idiolekty i przedziwne ich hybrydy: bełkot marketingowy (o „pozycjonowaniu”, „targecie” – T, s. 27) i parafialno-tabloidowy:

„(...) ale przecież jest jeszcze nasz ksiądz proboszcz i pani Wioletta, prezydentowa, która tak dobrze robi dla dzieci wszystko, i jest papież, i naprawdę należy skierować wzrok wzwyż, tam sięgać, gdzie wzrok nie sięga (...)” (T, s. 54);

język Trzeciej Rzeszy:

„Było wątliwe, czy uda się na Wiśle powstrzymać bolszewików, włoski sojusznik zreiterował, te świny z Ameryki, zamiast współdziałać w obronie białej rasy, dopuściły do armii czarnuchów i ośmieliły się zawrzeć sojusz z barbarzyńskim Wschodem. Tysiącletnie imperium chwiało się w posiadach zaledwie jedenaście lat po upajającym przejściu władzy przez Führera” (T, s. 257),

<sup>10</sup> Przejawem czarnego humoru jest umieszczenie w tym fragmencie „poradnika” zbitki słownej „higiena rasy ludzkiej” (T, s. 305).

dyskurs ekshitlerowca rewizjonisty:

„»To jest polska propaganda! – wołał [zapytany o eksperymenty eugeniczne – dopisek mój – Damian Strzeszewski]. – Myśmy się niczym takim nie zajmowali. Chcieliśmy tylko dać odpór komunizmowi i uporządkować trochę własne państwo. Higiena rasowa to kłamstwo, tak samo jak gazowanie Żydów«” (T, s. 187).

i germanofoba:

„Ja wiem, teraz są inne czasy, mamy się przyjaźnić z dziećmi i wnukami tych drani, może i tak powinno być, ja nic nie mówię, może dzieci, a zwłaszcza wnuki, to nie są już niczemu winne. Panie redaktorze, jest pan pewien, że w nich nic się nie obudzi za jakiś czas? Ale może trzeba człowiekowi wierzyć i może Niemiec też człowiek, z tym że ludziom mojego pokolenia to niech pan nie mówi tego zbyt często” (T, s. 136);

ględzenie entuzjasty PRL-u:

„Sojusznik był. Wojsko było. Wszystko było. Nawet pomarańcze na święta można było dostać. A teraz slumsy. Teraz pan Balcerowicz się żywi, a nasi do Częstochowy jeżdżą i głowy posypują. Już nie wiedzą, jak czarnym w dupę wchodzić. Nie widzisz, jaką propagandę robią? Biblię musiałeś czytać, tak? – to było znowu do Aleksa. – Na polskim? A dzieci głodują z pegeerowskich wsi, zobacz, co tam się dzieje. Tych, co pegieery polikwidowali, to trzeba by pod ścianę, bo to zbrodnia była, ostatni kawałek chleba ludziom zabrali, żeby kałduny żywić. I sprzedają wszystko, bo Wielki Brat z Ameryki kazał” (T, s. 336, 337).

i lokalnego „lansera” (T, s. 223):

„Na samym początku podjechał po nią samochodem pod szkołę, raz czy drugi, żeby dla małolatów było jasne, że dziewczynka jest wyjęta i mają dać sobie po hamulcach w tym temacie. Bo jednak była dopiero w trzeciej, a maturzyści to mało nie połykali swoich jabłek Adama, gdy przechodziła” (T, s. 92),

a do tego – rymowane wybroczyny antyzachodniej fobii:

„Unio wszeteczna, sprośna ladacznico,  
Twojej sromoty policzone dni są,  
Brukselski szatan wyciąga pazury  
Nad Polski synów i nad Polski córy...” (T, s. 38).

Swoistym ukoronowaniem tej strategii kolekcjonowania dyskursywnych osobliwości jest zestawienie różnych bedekerowych opowieści o Kołobrzegu – utrzymanej w duchu Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald”:

„Nasze uzdrowisko to prastary gród piastowski, położony u ujścia Parsęty. Pierwsze ślady Słowian można odnaleźć, wyprawiając się na niedługą wycieczkę w górę rzeki, do osady Budzistowo. W miejscu tym znajdował się warowny gród, którego jedynym śladem jest dziś kościół Świętego Jana Chrzciciela i Świętego Jana Ewangelisty, wzniesiony przed rokiem 1222. Ale nieprzerwana tradycja Kołobrzegu zaczyna się wcześniej, gdy w wyniku zabiegów króla Polski Bolesława Chrobrego miasto stało się siedzibą biskupa, a tym samym ważnym ośrodkiem kulturalnym, politycznym i militarnym na północnych rubieżach naszego kraju. »Niestety, Polakom przyszło potem wielokrotnie toczyć walki z nawałą niemiecką o odzyskanie perły Bałtyku«, żeby na trwale związać Kołobrzeg z macierzą dopiero w marcu 1945 roku” (T, s. 30);

proniemieckiej:

„Kołobrzeg /dawniej: Kolberg/ – miasto hanzeatyckie nad Bałtykiem, u ujścia rzeki Parsęty. W średniowieczu było celem licznych wypraw łupieżczych, prowadzonych przez Bolesława Chrobrego, który na krótko osadził tam biskupa...” (T, s. 33).

i zorientowanej militarystycznie (T, s. 154-157). Sosnowski zebrał wykluczając się opowieści, bo w ten sposób – powiada sobie czytelnik, obeznany z podobnymi strategiami literackimi – najzwięźle i przekonująco można zdać sprawę z radykalnej pluralizacji społecznie funkcjonujących języków, systemów normatywnych, wzorów mentalności etc.<sup>11</sup>. Uchwycił je autor nie najgorzej, rozpoznajemy kolejne głosy. Tak, to te.

Znamienne jednak, że Sosnowskiego fascynuje chwiejność w ten sposób wyodrębnionych składników rzeczywistości, niekontrolowane przeskoki, niespodziewane analogie, kuriozalne transfery. Oto profesjonalny pasjonat eugeniki rzeczce do swej współpracownicy:

„Być może mój niepokój jest podyktowany jedynie niedostatkami wiary, ale uważam, że póki czas, należy zadać pytanie natury jeszcze teoretycznej: ile wolno nam będzie poświęcić, aby nie stracić naszej placówki? I czy dla pustych, a być może niesłusznych gestów wolno nam oddać nasze dzieci w ręce kogoś gorszego od nas?” (T, s. 65).

Gdyby słowa te włożył w usta bohatera, który swą inteligencją kondycję przymierza do realiów wczesnego PRL-u, nie byłoby dysonansu. Przypadek? Trudno uwierzyć.

Inny przykład. Przez Kołobrzeg maszerują kibice tutejszej „Kotwicy”, wykrzykując to i owo w pomeczowym animuszu:

„Pojedynczy głos wyrwa się nagle: »Zielona wrona, dziób w ząbek szamerowany...« »Co ty, kurwa, śpiewasz?! « »Popierdoliło mi się, kurwa«” (T, s. 108).

Czy uprawnione byłoby poczytywanie takich rozwiązań za pośrednią laudację językowego liberalizmu w znaczeniu, jakie przybliży Richard Rorty – pochwałę przez unaochronienie, jak interferencja słowników finalnych zmusza do wybicia się ponad nie? Jeden z bohaterów powieści – ważny, bo prawdopodobnie do niego odnosi się jedno ze znaczeń tytułu powieści: to ten, który jako polskie dziecko był trenowany w „Jutrzence Rzeszy”<sup>12</sup> – rzeczce:

„Mówiąc najogólniej, myślenie, drogi przyjacielu, ma warstwy. Sięgają coraz głębiej czy wyżej. Od pewnego piętra nasz język nie tylko przestaje pomagać, ale wręcz utrudnia zrozumienie. Bo służy jedynie temu, co dzieje się tutaj. Pan nie jest niewolnikiem języka, najpłytszej warstwy. Coś pana wybrało albo może pan sam się wybrał, albo ja pana teraz wybieram, co, no widzi pan, z pewnej perspektywy na jedno wychodzi” (T, s. 204).

<sup>11</sup> W cytowanym na początku wywiadzie powiada Jarzębski: „Wydaje mi się, że model silnej, zdecydowanej tożsamości społeczeństwa, rozumianego jako tworząca jednolitą całość grupa, a do tego jeszcze skorelowany z tożsamością literatury, należy do przeszłości. Zapomnijmy o tym” (*O niemożliwym obrazie...*, op. cit., s. 90).

<sup>12</sup> Główny bohater, przyszedłszy na pierwsze (ustalone przez telefon) spotkanie z tym nieznanym sobie mężczyzną, szuka wzrokiem kogoś odpowiadającego danym, natrafia nań i powiada w myśli: „No tak, to ten, i już mnie widzi” (T, s. 198).



Biorąc pod uwagę wyżej wyłożone znaczenie tytułu powieści i status cytowanego bohatera, należy być może stwierdzić: t a k , t o t e n pogląd na skuteczność językowej reprezentacji świata pragnie Sosnowski przekazać.

W kontekście ukrytych znaczeń utworu istotna jest również scena miłosna, w której kobieta<sup>15</sup> przypadkiem uderza dłonią w obraz *Wieża Babel* Breughla ułożony z puzzli i powieszony nad łóżkiem, a czyni to tak, że elementy układanki sypią się na żwawo dokazujących kochanków (T, s. 310, 311). Sosnowski w internetowym komentarzu zaleca tu rozważyć, „co symbolizował w naszej kulturze akt seksualny, zanim uległ zdeprecjonowaniu przez pornografię” i zapewne ma na myśli wymiar epifaniijny intymnego współżycia. Niewykluczone, że za inspirację posłużyły mu uwagi Franka Ankersmita o poznawczym wymiarze doświadczania intensywnych wrażeń. Czy tedy męcząca pstrokaczna jarmarku dyskursów skłania do rejterady? Oczywiście nie. Wiara w językowe (i literackie) medium, na przekór ich aporiom, nie gaśnie. Jako akt tej wiary jawi się początek powieści – obraz z batalii o miasto:

„Zerwane scho-, dygoczz dachów połamane więźby. Stro-py – spēkane” (T, s. 9);

„Krew. Popiół. Piasek. Po dziura wio ne mu ry. Po dziu ra wio ne cia ła. Nad kra terami nad kra kra wrony nad rozpadlinami dolinami linami rybitwy jestem rybą i bitwą i linem tym co żywe i tym co martwe starą kobietą i małą dziewczynką skazałeś mnie na wszystko roz post arłam się arłam roz a ł to boli” (T, s. 17).

Dają się usłyszeć nieoczekiwane współbrzmienia: „palce” (obcinane) – „place”, (T, s. 10), „szalety” (obracane w ruinę) – „szaleństwo” (T, s. 10), „Kochanie” – „konia” (T, s. 16). Podobnie jak w prozie Mirona Białoszewskiego (to niewątpliwy intertekst tego fragmentu powieści Sosnowskiego) napór bodźców sieka słowa, targa opowieści, mąci jej bezszelstność, czyni ją ziarnistą. Co wszakże fundamentalne a nieoczekiwane, ta nowa faktura opowieści miast razić sztucznością – okazuje się ze wszech miar właściwa, miast dowodzić niemożliwości przedstawienia traumy – pozwala uchwycić istotę wojennego inferna. Właśnie: wojennego. A czego się imać, by równie fortunnie pochwytać współczesność?

---

<sup>15</sup> Bardzo szczególnie to bohaterka: „Mijają dziesiątki lat, część wcielań gubi się gdzieś, pewnie umierają bez niej, gdy na zbyt długo umości się w któryms miejscu, jak teraz, gdy powróciła do miasta swojej pierwszej śmierci czy też do niestarannej kopii tamtego miasta – bo nic nie jest tu takie jak wtedy, gdy zdawało jej się, że umiera od kuli na stercie przemarzniętych kartofli” (T, s. 225); „Zabijając czas, odzyskuje zatem siebie, ogranicza i może wreszcie myśleć o sobie: ja, Irena. W każdym języku ma imię zaczynające się na »i«. A wokół uśmiechają się do niej mężczyźni, skuszeni nieokreślonym wezwaniem; opodal przechodzą kobiety, patrząc nieuwzięnie, bez zrozumienia. Niepokonany opór wstrzymuje ją, nie pozwala podejść do nich bliżej. Więc I. ślizga się po powierzchni życia innych, a gdy się zapomni, wyszługuje się nawet z własnego życia, staje się kilkunastoma, kilkudziesięcioma kobietami jednocześnie, widzi naraz wiele ulic, twarzy, domów i dopiero po chwili udaje jej się powtórnie skupić na którejś z równoległych ścieżek. »Czy w Jutrzence Rzeszy« wyhodowano naprawdę nowy gatunek człowieka, samice wabiące samców skuteczniej niż zwykle, czy też mężczyźni wyczuwają po prostu, że zdobywszy tę jedną, zdobyliby wszystkie jednocześnie?» (T, s. 227); „I znów spojrzała mu w oczy, może sprawdzając, czy wciąż przebywa w tym samym załomie czasu, wyrwany na niepowtarzalną noc z historii, żeby je zebrać wszystkie razem, Irenę i Ingrid, Isabel, Ilse i Ismenę, i Imogenę, Irmę i Idę, Innocentę i Ingeborg, i Ilonę, i jeszcze inne, ogarnąć je wszystkie i zamknąć w jednym ciele” (T, s. 309).

## NIE, TO NIE TA

Można domniemywać, że po książki Sosnowskiego sięgają z zainteresowaniem czytelnicy wyznający pogląd, wedle którego prozaicy przedwcześnie wyrzekli się praw do wymierzania/oddawania sprawiedliwości widzialnemu światu, a od epickiego rozmachu stronią niepotrzebnie. Wynikającym stąd oczekiwaniom pisarz czyni zadość do pewnego stopnia. Uwodzi dość dobrze rozegraną intrygą, wprawnie wpisuje w nią pytania niebłahe dla ogółu, prezentuje bohaterów, o których – gdyby nie wspomniany cyborg z *Apokryfu Agtai* – można by rzec: „z krwi i kości” (na marginesie: innymi niż krew płynami ustrojowymi powieści Sosnowskiego nie ociekają, o erotycznych perypetiach pisze on bez epatowania lepkiem konkretem i na szczęście też bez uwznioślającej manieri – ze swego rodzaju szorstką naturalnością). Te właściwości nabierają znaczenia w kontekście wspomnianych oczekiwań czytelnicznych – zyskują sankcję pytania, które w innym kontekście razityby jako anachronizm: czy można tu mówić o tradycyjnie pojętym portrecie społeczeństwa – o kalejdoskopie wyrazistych typów; jeśli zaś tak, to czy obraz ten wydaje się przekonujący?

W *Tak to ten* – jak przystało na epopeję, choć tylko kołobrzeską – Sosnowski ogarnia spojrzeniem reprezentantów różnych warstw społecznych. O tym, co dostrzega, niech da wyobrażenie poniższy obszerny (lecz niewyczerpujący) zestaw cytatów.

Na temat miejscowego biznesmena można przeczytać:

„Założona na spółkę ze znajomym hurtownia, a potem sklep spożywczy, załatwiona przez tamtego, prawdopodobnie za łapówkę, koncesja na całodobową sprzedaż alkoholu, sieć mikromarketów w całym powiecie, pozbycie się znajomego ze spółki, inwestycje budowlane na terenach dawnych ogródków działkowych, a później w Podczelu – uczyniły go jednym z najbogatszych ludzi w mieście i pozwoliły wreszcie na zrealizowanie marzenia dosyć kosztownego, ale mającego przynajmniej pozory związku z dawnymi studiami – stworzenie lokalnego radia. Tyle że płacił za to wszystko pracą od świtu do nocy, mijaniem się z Martą i ostatecznie swoistą abdykacją: w ich nowej willi w Korzystnie królowały dwie kobiety, którym w chwilach złego nastroju przyglądał się jak uzurpatorkom” (T, s. 24);

„Będąc najbogatszym człowiekiem w okolicy, musiał się liczyć z anonimami. Raz czy dwa był z nimi na policji, ale w końcu musiał podjąć rozmowę z zupełnie kimś innym. Zawarł umowę i od tamtej pory miał spokój” (T, s. 28)<sup>14</sup>.

O niemłodym ekspedientce sex shopu czytelnik dowiaduje się, że:

„Klon miał do swojego miejsca pracy stosunek, którego nie umiał nazwać; czuł tylko wyrażnie, że gdzieś w jego przetłuszczonym ciele kryje się dawny Zygmunt Klon, szczupły kapitan linii lotniczych, że jest tam uwięziony i cierpi – co Klonowi zewnętrznemu sprawiało dziwną przyjemność. Latał na tupolewach i był za stary, żeby opłacało się go przeszkalać, kiedy LOT wymienił starą flotę na boeingi. I choć proponowano mu jakieś stanowisko naziemne, uniósł się ambicją i złożył wypowiedzenie” (T, s. 81).

<sup>14</sup> Obrazu dopełnia wzmianka o „idiotycznej ofercie z zakupem alkoholu od Rosjan, który zakwestionowano jako przemyt” (T, s. 29) i opowiadanie o wręczeniu policjantom skrzynki wódki dla zawyżenia strat poniesionych przy włamaniu (T, s. 29).

Klon, zdradzany przez żonę, popadł w alkoholizm, uzyskał rozwód, podjął pracę we wspomnianym przybytku i zapałał nienawiścią do wcześniej opisanego lokalnego burżuja:

„Wszystko się skurwysynowi udaje – myślał Zygmunt, początkowo z pewnym wysiłkiem, bo w gruncie rzeczy nic go to nie obchodziło, ale szybko zaczął wzbudzać w sobie zawiść z większą łatwością, może nawet maestrią. Od pewnego momentu zaczął się upajać wyobrażeniem, że Piotrowin specjalnie wrócił po studiach w Warszawie nad morze, by pokazać takim pechowcom jak on, że nie ma miejsca, w którym nie można uwić sobie wygodnego gniazdka – naturalnie, jeśli dysponuje się odpowiednio dużymi zasobami bezwzględności, niegodziwości o gotówki. Przejdzie przez życie jak przez raj – pienie się Zygmunt – i do końca będzie myślał, że wszyscy dookoła istnieją tylko po to, żeby nabijać kabzę panu Wiktorowi Dupowinowi” (T, s. 83).

A to o innym posiadaczu nabitej kabzy:

„Towarzysz pułkownik doktor Wincenty Turek. Długoletni prezes wrocławskiego oddziału ZBoWiD, korespondent terenowy «Żołnierza Swobody», członek zarządu lokalnego oddziału PRON, w osiemdziesiątym pierwszym komendant wojskowy w Pafawagu, członek Partii od 1948 roku, uczestnik oddziałów interwencyjnych wystanych do Czechosłowacji w 1968 roku i prawdopodobnie – ale to akurat mogła być plotka – do Szczecina w roku 1970.

Trzy lata po pogrzebie dziadka – dyrektor Wincenty Turek, Tiger Spółka z o.o. Doradztwo i Zarządzanie oraz Trigger Export-Import, sieć sklepów z bronią sportową i osobistą. Prawdopodobne powiązania z Fiesta Consulting z siedzibą w Panamie, a poprzez Fiestę z firmą D.R.A. Ltd., którą podejrzewa się o handel z krajami objętymi embargiem ONZ” (T, s. 135).

Z kolei maturzystka o zniewalającej urodzie ma taki pogląd na świat:

„»Przepraszam cię, Jacuś, ale chuj mnie obchodzi, co ‘my’. Minęły czasy, kiedy kobieta jeździła za facetem. Naprawdę mnie kochasz, to zbieraj na bilet. Ja nie zamierzam być moją mamą i przepraszać, że żyję. Świat ma należeć do mnie, Jacuś, a ty razem z nim. Nie odwrotnie!»” (T, s. 97).

Natomiast o miejscowym księdzu katolickim powiedziane jest, że w młodości walczył w partyzantce na Kielecczyźnie (gdzieżby indziej!), siedział z wyrokiem śmierci w komunistycznym więzieniu, oparł się kuszeniu przez SB, a po przełomie politycznym bał się uszczypliwości ze strony „komunoliberalnych dziennikarzy”, wreszcie, nie poparwszy wyraźnie „Zrzeszenia Katolicko-Patriotycznego”, doczekał się etykiетки „liberata” (T, s. 142, 143).

Obcując z takim portretem społeczeństwa, nie sposób pozbyć się uczucia *déjà lu i déjà vu*. Gorzej, nie trzeba wielkiej wnikliwości, by rozpoznać historyjki *déjà lu dans un journal* i motywy *déjà vu á la télé*: gazetowe banały i telereporterskie schematy. Jak wiadomo, te dwa żywioły obecnie trwają w jałowej symbiozie, równie często żywiąc się jeden drugim, co dublując. Jakim sposobem wdarły się do literatury i tak w niej rozpanoszyły? Przecież nie są one – u Sosnowskiego i u innych współczesnych prozaików – stematyzowanymi składnikami wielogłosu, równorzędnymi wobec tyłu innych. Pełnią funkcję nadrzędną – swego rodzaju programatorów opowieści.

Sformułuję rzecz ostro. Te narracyjne prefabrykaty wygenerował polski dyskurs transformacyjny. Można zidentyfikować kilka jego głównych wariantów, te zaś – powiązać

ze znaczącymi ośrodkami opinii. W każdym z owych wariantów odmiennie (jakże odmiennie!) waloryzuje się rozmaite elementy dostępnej intersubiektywnie rzeczywistości, przy czym efektem owych zabiegów interpretacyjnych w każdym wypadku okazuje się względnie trwałe dwubiegunowy konstrukt. Niezmiennie zawdzięcza on swą moc dynamicznej równowadze między wstydem a zideologizowaną dumą: między wstydem za szmalcowników albo za konfidentów, albo za kołtunerię, albo za zgnuśniałych peere-lowców, albo za... – a dumą z akowców, albo z opozycjonistów, albo z organiczników *ancien régime'u*, albo z awangardy wolnego rynku, albo z...<sup>15</sup>. Duma i wstyd określają specyfikę dyskursu transformacyjnego w takim stopniu, w jakim specyfikę peerelowskiej nowomowy – zjawiska radykalnie odmiennego rzecz jasna – określały mobilizacja i normalizacja, rozumiane w pewien szczególnie sposób<sup>16</sup>. Mobilizacja i normalizacja nieźle sprawdzały się w komunikatach adresowanych do społeczeństwa względnie izolowanego, w czasach, gdy o innowacjach telekomunikacyjnych i swobodzie przemieszczania się co najwyżej mogła roić jasnovidząca dziewczynka z beskidzkiego wygwizdowa – by nawiązać do jednej z powieści Sosnowskiego. Adresaci spluralizowanego przekazu medialnego, biegli w posługiwaniu się doskonałymi środkami komunikacji, mający coraz więcej okazji, by konfrontować rzeczywistość polską z czeską, niemiecką, francuską, włoską, chętniej nadstawiali ucha na inne głosy, wolne od nieaktualnej już wsobności. Podświadomie może dawali wyraz przekonaniu, iż postpeerelowską rozsypkę symboliczną, językową, aksjologiczną (parę jeszcze określęń śmiało można dorzucić) da się prowizorycznie choćby ogarnąć, odpowiadając na pytanie „z czym do ludzi”, innych ludzi.

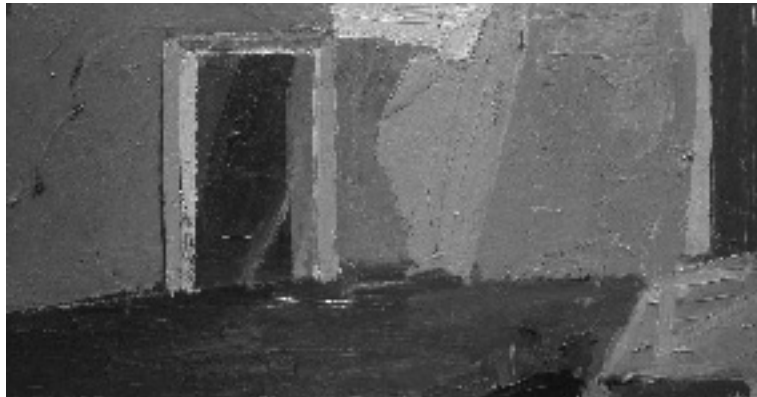
Odmalowane przez Sosnowskiego konterfekty burżuazja, pogrobowca gierkowszczyzny, „blachary” z pretensjami i tak dalej są tedy odsyłaczami do rozmaitych, coraz mocniej przywidytych, ale wciąż niebezinteresownych opowieści o współczesnej polskiej rzeczywistości. Pisarz operuje nimi chyba bezwiednie, wiedziony jakimś automatyzmem, trudno wszak przypuszczać, by nie uświadamiał sobie zagrożeń płynących dla prozaika z wierności jakimkolwiek gazetowym schematom; ciężar gatunkowy tych zagrożeń ujawnił

---

<sup>15</sup> Użycie przez jedną z partii politycznych w kampanii przed wyborami parlamentarnymi (rozpisanym na 21 października 2007) hasła „wstyd” (odniesionego do działań przeciwników politycznych, pozostających przed tymi wyborami u władzy) jawi się jako potwierdzenie rozwijanych tu spostrzeżeń – potwierdzenie dość trywialne.

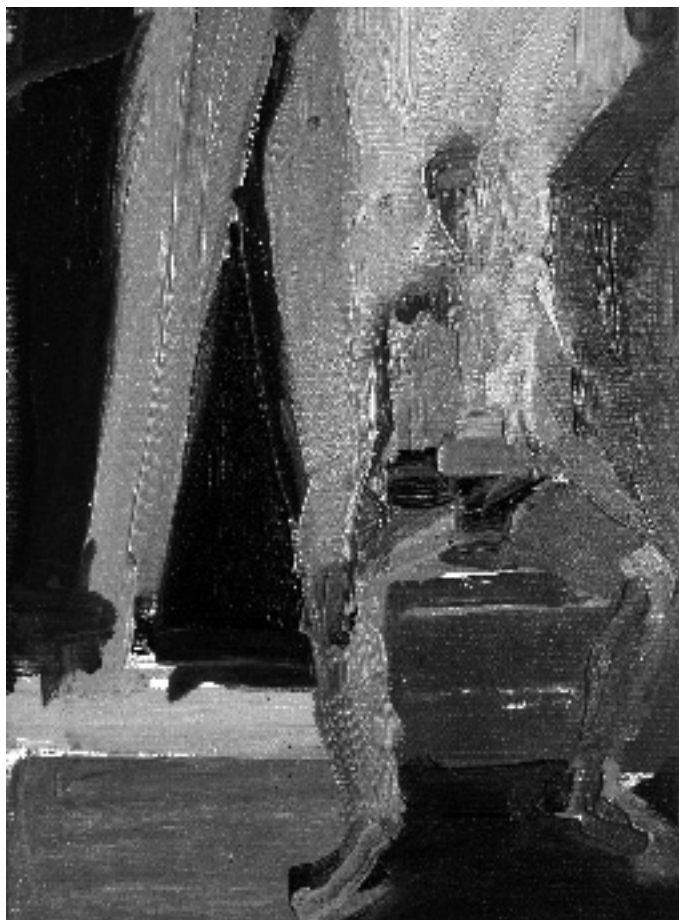
<sup>16</sup> Motywy mobilizujące oficjalnego przekazu pobudzały odbiorców do podjęcia pewnych zachowań poprzez nasywanie wybranych pojęć, zjawisk, obiektów wartościami. Wśród motywów tych ważne miejsce zajmowały między innymi figura wroga, mit wielkiej budowy, poetyka wielkiego wyzwania, wspomniana w tym szkicu militaryzacja neutralnych sfer życia. Występowały one w splocie z motywami normalizującymi, które z kolei opierały się na uspokajającej afirmacji ogólnie określonego standardu i na osuwającym (naturalnie ukierunkowanym) upodobnieniu spraw publicznych do wzorów życia codzienności. Funkcję normalizującą miały między innymi motyw jedności, stylizacja paternalistyczna, wizja ideologicznego *status quo*, motyw pracy i gospodarności. Zob. na przykład.: J. Karpiński, *Mowa do ludu. Szkice o języku polityki*, London 1984; M. Głowiński, *Nowomowa po polsku*, Warszawa 1991; Idem, *Markowe gadanie. Komentarze do słów 1976-1981*, Warszawa 1991; Idem, *Style bycia, style mowy (Notatki z lat 1977-1985)* [w:] Idem, *Pismak 1863 i inne szkice o różnych brzydkich rzeczach*, Warszawa 1995; Idem, *Mowa w stanie obłąkania 1982-1985*, Warszawa 1986; Idem, *Końcówka (czerwiec 1985 – styczeń 1989)*, Kraków 1999; J. Bralczyk, *O języku polskiej propagandy politycznej lat siedemdziesiątych*, Warszawa 2001; P. Wierzbicki, *Struktura kłamstwa*, Warszawa 1986.

się najdobitniej w okresie dominacji „produkcyjniaków”, ale i w rozmaitych późniejszych epizodach. Mimowolnie czy nie, Sosnowski ujawnia uległość wobec arbitralnych dyskursywnych konstruktów, apelując przy tym do czytelniczych idiosynkrazji, w jakimś sensie powiela zasadę, która te dyskursy organizuje. Śmiem twierdzić, że to praktyka dla artysty całkowicie jałowa, a dla inteligenta (czuć, że Sosnowski inteligentem podszyty) – biorąc pod uwagę historyczne analogie – niestosowna. Zgoda, że trudno znaleźć najbardziej fortunny prozatorski „uchwyt” aktualnej rzeczywistości. Przed z górą ćwierćwieczem pisał Kazimierz Brandys o zachodniej Europie: „Oni żyją w cywilizacji, my w dramacie”, „Bo oni spacerują po życiu, a my się czołgamy przez historię”<sup>17</sup>. Niełatwo więc ująć cywilizowanie zawikłanego dramatu i przenosiny z rojstów na bulwary. Ta okoliczność każe wybaczyć wspomnianą skazę na – poza tym udanej i godnej polecenia – powieści.



Mariusz Gutowski

<sup>17</sup> K. Brandys, *Miesiące*. 1980-1981, Paryż 1985, s. 80-81.



Mariusz Gutowski